Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 27

# Górale polscy w roli dyplomatów

## (W 15-toletnią rocznicę konferencji pokojowej w Paryżu)

I. SPISZ I ORAWA PRZED R. 1918.

Sporo już czasu upłynęło od objęcia przez władze polskie dwóch skrawków Spisza i Orawy, przyznanych nam w r. 1920 przez Radę Ambasadorów po prawie dwuletnim sporze z Republiką Czechosłowacką.

Początkowo Spisz i Orawa budziły pewne zainteresowanie zarówno Rządu jak i społeczeństwa, później jednak zwykłą u nas rzeczy koleją zapomniano prawie zupełnie o tych dwóch pięknych, lecz bardzo ubogich ziemiach, których mieszkańcy walczą obecnie z największym trudem o kawałek czarnego chleba.

A przecież był czas, że kwestja Spisza i Orawy entuzjazmowała społeczeństwo polskie, które nie chciało początkowo wierzyć, że po tamtej stronie Karpat, już w dorzeczu Dunaju, żyją Polacy gorąco przywiązani zarówno do religji jak i mowy ojczystej. Można zaś bezsprzecznie stwierdzić, że walka o poczucie narodowe górali Spisza i Orawy, jaką przed wojną światową prowadziło parę odważnych jednostek z nieprzebierającym w brutalnych metodach rządem węgierskim, jest jednym z najpiękniejszych epizodów tej gigantycznej akcji, jaka toczyła się na ziemiach dawnej Polski o poczucie narodowe ludu polskiego.



Roman Dmowski

Rozbudzone w ostatniej ćwierci XIX wieku wśród społeczeństwa polskiego zainteresowanie ziemiami zachodniemi i połączona z tem działalność oświatowa wśród szerokich mas ludności polskiej, nie dotarła z różnych powodów na Spisz i Orawę. Brak miejscowej inteligencji polskiej uniemożliwiał zapoczątkowanie samodzielnej polityki narodowej polskiej, a społeczeństwo polskie z tamtej strony kordonu nie miało pojęcia, że po drugiej stronie Karpat żyje kilkadziesiąt tysięcy ludzi mówiących po polsku. Przykładem tej ignorancji może być fakt, że nawet w Atlasie Romera, tej prawdziwej chlubie nauki polskiej, Spisz i Orawa figurują jako ziemie słowackie[1]).

Trudno jest dziś rozstrzygać, co było powodem zaniedbania Spisza i Orawy ze strony społeczeństwa polskiego, można jednak przypuścić, że mając dość kłopotów z trzema, a zwłaszcza z dwoma zaborcami, nie chciano sobie zrażać narodu, z którym przyjaźń była przysłowiowa. Węgrzy jednak, zawsze bardzo serdeczni i gościnni na bankietach i przyjęciach, w praktyce nie mniej prześladowali polski ruch narodowy od Moskali czy Prusaków.

Brutalne postępowanie Węgrów w czasie sporu o „Morskie Oko“, ostudziło na pewien czas sympatje filowęgierskie wśród naszego społeczeństwa, które zaczęło się więcej interesować rodakami ze Spisza i Orawy. Równocześnie prawie paru uważających się za Polaków inteligentów Orawców wszczęło żywą działalność oświat. wśród tamtejszych Polaków. Byli to przedewszystkiem księża Ferdynand Machay, Eug. Sikora, Antoni Sikora, Józef Buroń oraz kilku ludzi świeckich, jak aptekarz z Jabłonki Stercula, „notar“ Małonóg i paru innych. Tej garstce ludzi dobrej woli zaczęło pomagać wydatnie w pracy oświatowej kilku ludzi dobrej woli[2]) z poza kordonu.

Ten powolny zresztą proces uświadomienia narodowego Polaków w zaborze węgierskim przerwał wybuch wojny światowej, która rozprószyła najbardziej ochotnych pracowników oświatowych na Spiszu i Orawie.

Rozpadnięcie się w r. 1918 monarchji Austro-Węgierskiej nie zastało jednak jednak Polaków węgierskich nieprzygotowanymi; zwłaszcza na Orawie dzięki lepszym warunkom już 4 listopada rozbrojono posterunki żandarmerji węgierskiej i przepędzono „notarów“ o wiele wcześniej niż na sąsiedniej Słowaczyźnie, gdzie węgierska administracja ustępowała dopiero przed wkraczającemi wojskami czeskiemi.

Samorzutnie powstała Rada Narodowa ogłosiła przyłączenie polskich części Spisza i Orawy do Polski, w następstwie czego wojska polskie (bardzo zresztą nieliczne) obsadziły wspomniane terytorja zajmując nawet (14 grudnia) Kieżmark i Podoliniec.

Wkraczającym jednak na Spisz wojskom czechosłowackim, świetnie wyekwipowanym i znacznie od naszego liczniejszym, nie mogły się nieliczne polskie oddziałki na serjo przeciwstawić tembardziej, że na jakąkolwiek pomoc nie można było liczyć z powodu groźnej sytuacji pod Lwowem. Rozpoczęto więc ewakuację naprzód Spisza, a następnie (15 stycznia 1919) Orawy, z której wraz z ustępującemi wojskami polskiemi uszło



Delegacja spisko-orawska w Paryżu. Stoją od lewej: Rouppert, J. Borowy, ks. Machay i Woj. Hulczyn.



Kościół w Lipnicy na Orawie.

[1] To niedopatrzenie znakomitego uczonego będzie jednym z najsilniejszych argumentów czeskich przeciwko przyłączeniu Spisza i Orawy do Polski.

[2]) Kogo więcej interesuje sprawa narodowego rozbudzenia Spisza i Orawy, tego odsyłam do przepięknej książki ks. F. Machaya „Moja droga do Polski“ (Kraków 1923).

W książce tej, napisanej z ujmującą szczerością, możemy doskonale śledzić jak autor, początkowo, „zabity Madziar“ staje się narodowo uświadomionym Polakiem a do czego w znacznej mierze przyczynił się krótki zresztą pobyt w Krakowie i przeczytanie „Trylogji“ Sienkiewicza. —

kilku najbardziej aktywnych działaczy spisko - orawskich.

### II. AKCJA DYPLOMATYCZNA O SPISZ I ORAWĘ I WYSŁANIE DELEGACJI DO WARSZAWY

Rząd polski wycofując wojska ze Spiszu i Orawy nie myślał bynajmniej rezygnować z tych czysto polskich terytorjów. Chodziło narazie tylko o to, by uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi, bo sądzono powszechnie, że mająca się odbyć konferencja pokojowa przyzna te ziemie Polsce. Nastrój wśród ludności na Spiszu i Orawie był zdecydowanie antyczeski, gdyż Czesi w zajętych terytorjach postępowali brutalnie, urażając zwłaszcza na każdym kroku religijne uczucia szczerze katolickiej ludności, dla której wkrótce przyłączenie Spisza i Orawy do Polski było nietylko kwestją polityczną, ale także i religijną.

Przyłączeniu jednak Spiszu i Orawy do Polski towarzyszyły ogromne trudności. Przedewszystkiem Czesi byli wówczas pupilkami zwycięskiej koalicji, która zgadzała się na wszystkie żądania, jakie Czesi wysuwali. Polska z powodu specyficznych warunków była w położeniu o wiele gorszem tembardziej, że sprawa spisko-orawska była drobnostką w porównaniu z kwestją Pomorza, Śląska czy Lwowa. Poza tem w tym wypadku mieliśmy na poparcie swych żądań jedynie względy narodowe, gdyż praw historycznych do tych odwiecznie węgierskich ziem nie posiadaliśmy żadnych[3]) a co do Orawy, to przeciwko nam przemawiały jeszcze względy geograficzne, gdyż ta, jak wiadomo, leży już w dorzeczu Dunaju i od Polski oddzielona jest potężnym wałem Beskidów.

Kwestja więc Spisza i Orawy z początkiem roku 1919 nie była bynajmniej przesądzoną, a raczej wiele względów przemawiało za tem, że pozyskanie tych ziem dla Polski będzie natrafiało na ogromne trudności.

W tym czasie powstaje wśród działaczy spisko-orawskich, bawiących w Nowym Targu, szczęśliwa myśl, by wysłać do Warszawy delegację ludności, którąby osobiście wyraziła swe życzenia członkom Komisji aljanckiej z ambasadorem Noulensem na czele. Inicjatorem wysłania tej delegacji był bawiący w tym czasie na Podhalu pułkownik angielski Wade.

### III. SKŁAD DELEGACJI SPISKO-ORAWSKIEJ I JEJ WYJAZD DO POZNANIA

Delegacja liczyła sześciu członków,

[3]) Wprawdzie posiadaliśmy przez zgóra trzy wieki tytułem zastawu 13 miast spiskich, to jednak terytorjum to posiadało ludność przeważnie niepolską, — natomiast ta część Spisza, która jest zamieszkaną prawie wyłącznie przez Polaków (Zamagórze), nigdy do Polski nie należała, jeżeli pominiemy czasy pierwszych Piastów, gdyż o ówczesnych granicach polsko-węgierskich nie wiele da się powiedzieć.

w której skład wchodzili: wspomniany już, zasłużony bojownik o polskość Orawy ks. Ferdynand Machay, prof. Dr. Kazimierz Rouppert oraz czterech górali, po dwóch ze Spisza i Orawy. Byli to: Piotr Borowy z Rabczyc, Ignacy Sandrzyk z Jabłonki oraz dwaj Spiszacy: Wojciech Halczyn i Mateusz Koszczak, obaj z Lendaku[4]). Choć wszyscy czterej przedstawiali niezwykle dodatnie typy narodowo uświadomionych górali, to jednak Borowy i Halczyn wyróżniali się od dwóch pozostałych towarzyszy zarówno inteligencją jak i oczytaniem. Obaj przebywali przez dłuższy czas w Ameryce, w której nauczyli się wcale dobrze po angielsku, a Halczyn, jako Spiszak[5]), umiał nieźle po niemiecku. Nie byli to więc ludzie, którym byle co potrafi zaimponować, znali bowiem dobrze nietylko Amerykę, ale i szereg większych miast Europy, jak Berlin, Hamburg, Wiedeń, Rzym.



Prezydent W. Wilson.

Gdy też później będąc w Paryżu, bywali przyjmowani przez asów konferencji pokojowej, to nie stanowili jedynie malowniczej dekoracji dla ks. Machaya i Prof. Roupperta, ale sami zabierali głos i czasami (jak np. u Wilsona) wyłącznie prawie mówili i przedstawiali te sprawy, dla których do Paryża przyjechali. Zwłaszcza z dyplomatami angielskimi i amerykańskimi, dzięki znajomości języka angielskiego, mieli zadanie ułatwione i zadziwiali ich zarówno inteligentnemi odpowiedziami, udzielanemi w ich języku, jak i pięknym, góralskim strojem.

[4]) Lendak, wieś leżąca już na południowej stronie Magóry spiskiej, jest ostatnią miejscowością na południu zamieszkałą jeszcze przez Polaków.

[5]) Sąsiadujące z Lendakiem Biała Spiska i Słowiańska wieś, mają wielki procent Niemców.



Zamek w Niedzicy.

Delegacja wyjechała do Warszawy 10 marca 1919, a stamtąd udała się do Poznania, gdyż tam właśnie bawiła misja koalicyjna.

W Poznaniu jednak oczywiście sprawy przynależności Spisza i Orawy nie załatwiono, lecz poradzono delegacji, by udała się do Paryża i tam swoje dezyderaty przedstawiła konferencji pokojowej.

### IV. NASI GAZDOWIE W PARYŻU

Do Paryża już jednak pojechało oprócz ks. Machaya i Prof. Roupperta tylko dwóch gazdów, a to Borowy i Halczyn, dwaj inni musieli wracać do domu, oddawszy wprzód swe piękne serdaki i gunie szczęśliwym wybrańcom.

Delegacja udała się do Paryża przez Wiedeń i Szwajcarję, a trzeba dodać, że jechali wszyscy przez cały czas w kurytarzu wagonu, gdyż miejsca siedzące zarezerwowane były na całe tygodnie naprzód.

W Paryżu pierwszą czynnością delegacji było zapoznanie członków Komitetu Narodowego ze sprawą Spisza i Orawy, co nie było rzeczą zbyt łatwą. Sam prezes Komitetu Roman Dmowski był dobrze poinformowany co do obu ziem i zaliczył już przedtem Spisz i Orawę w poczet tych terytorjów, których się miała domagać Delegacja Polska na konferencji pokojowej (Linja Dmowskiego). Pewne natomiast trudności mieli nasi delegaci przy zjednywaniu sobie innych członków Komitetu, którzy niekiedy wyrażali obawę, że zbyt forsowne wysuwanie Spisza i Orawy może zaszkodzić sprawie Pomorza, Górnego Śląska, Cieszyńskiego, Warmji i tylu innem, które czekały dopiero na rozstrzygnięcie Konferencji pokojowej. Z punktu widzenia ogólnopolskiej polityki państwowej trudno było nawet odmówić racji tego rodzaju stawianiu kwestji. Ks. Machay jednak i jego górale stali na stanowisku, że każdy skrawek ziemi, zamieszkały przez ludność polską, ma pełne prawa domagać się, by jego ziemię przyłączono do Polski bez względu na warunki ekonomiczne czy jakiekolwiek inne. Ta wytrwałość i energja w domaganiu się swego prawa przełamała wreszcie pewną niechęć nie licznych zresztą jednostek i w krótkim czasie nasi górale stali się popularnymi i lubianymi przez Polonję paryską, ale także wśród szerokich mas Paryżan, których zaciekawiły przedewszystkiem „egzotyczne" ubiory naszych gazdów.[6])

### V. AUDJENCJA U WILSONA.

Drugim etapem czynności Delegacji spisko — orawskiej było przedstawienie swych postulatów wybitniejszym osobistościom sprzymierzonych mocarstw. Tak więc złożyli wizyty podsekretarzowi stanu w francuskiem Ministerstwie Spraw Zagranicznych P. Laroche[7]), oraz min. André Tardieu. Francuzi jednak, choć przyjmowali Delegację bardzo uprzejmie, głosili w tej sprawie swoje desinteressement, nie chcąc sobie zrażać zarówno Polaków jak i Czechów i wyrażali życzenie, by spór spisko — orawski został załatwiony polubownie między dwoma państwami. Podobne poglądy wyrażali przedstawiciele Włoch Salvago Raggi i della Toretta. Natomiast wizyty u dyplomatów angielskich i amerykańskich[8]) posiadały znacznie sympatyczniejszy charakter, gdyż panowie ci rozmawiali przeważnie nie z kierownikiem Delegacji ale z samymi gazdami wypytując się ich bardzo szczegółowo o stosunki gospodarcze, polityczne, religijne, komunikacyjne na Spiszu i Orawie, przyczem najwięcej jednak uwagi poświęcali Anglicy i Amerykanie stosunkom ekonomicznym.

Na wszystkie pytania gazdowie dawali jasne i wyczerpujące odpowiedzi i podkreślali, że jedną z głównych przyczyn ich garnięcia się do Polski jest oprócz narodowości wiara katolicka[9]), którą Czesi teraz poniewierają i lekceważą.[10]). Nie trzeba dodawać, że to peł ne taktu i godności zachowanie się prostych górali, ich piękny strój, inteligentne i rzeczowe odpowiedzi wygłaszane po angielsku, — wszystko to musiało zrobić bardzo korzystne wrażenie na dyplomatach anglosaskich i im też głównie mamy do zawdzięczenia, że ogłoszono niebawem plebiscyt na spornych terytorjach Spisza i Orawy.

Punktem kulminacyjnym pobytu delegacji spisko — orawskiej w Paryżu była audjencja u wszechwładnego wówczas prezydenta Wilsona, który posłyszawszy już przedtem o tej oryginalnej delegacji, wyraził życzenie ujrzenia ich u siebie (a uzyskanie audjencji u Wilsona było wówczas rzeczą niesłychanie trudną). —

Zdawałoby się, że znalazłszy się oko w oko z tym prawdziwym wówczas dyktatorem Europy — ci prości górale stracą rezon i, jak to się mówi, zapomną języka w gębie. Tymczasem

[6]) Ks. Machy opowiada wiele zabawnych przygód, jakie spotkały gazdów ze strony Paryżan — a zwłaszcza Paryżanek.

[7]) Obecny ambasador Francji w Warszawie.

[8]) Rozmawiali nasi delegaci kolejno z prof. Lordem, z amerykańskimi sekretarzami stanu Backerem i Bowmanem, amb. Withem, oraz z Anglikami prof. Patonem i pułk. Kischem.

[9]) Ks. Machay „Nasi gazdowie" str. 19.

[10]) Zwłaszcza oburzali się Anglicy słysząc o strzelaniu do figur Świętych w Jabłonce i innych miejscowościach.

wręcz przeciwnie! gazdowie spokojnie i rzeczowo wypowiedzieli swoją prośbę, by ziemie, w których żyją, zostały przyłączone do Polski. Na pytania prezydenta odpowiadał Piotr Borowy, który przytem ujął prawą rękę Wilsona i głaszcząc trzymał ją aż do końca audjencji. Prezydent wzruszony obiecał zrobić wszystko to, co będzie od niego zależało a Borowy mu na to z całą ufnością rzekł, że „my dobrze wiemy, że Pan wszystko możesz zrobić, to tylko od Pana zależy!

Złożywszy krótki memorjał wraz z odpowiedniemi mapami pożegnała delegacja prez. Wilsona, który później powiedział swemu sekretarzowi, że jest zachwycony tą delegacją i byłoby mu sto razy milej, gdyby takie delegacje do niego przychodziły, aniżeli różni dyplomaci.

### VI. POWROT DO KRAJU I REZULTAT PODROZY.

Po audjencji u Wilsona delegaci przyszli do przekonania, że ich zadanie w Paryżu jest skończone i należy wracać do kraju. Do Polski wrócili przez Niemcy jadąc pociągiem, który wiózł do Polski gen. Hallera, przyczem obaj gazdowie musieli się przebrać za Hallerczyków, bo przejazd przez Niemcy był dozwolony jedynie wojskowym.

W kraju wszyscy delegaci rozwinęli ożywioną działalność propagandową celem zaznajomienia jak najszerszych sfer społeczeństwa polskiego ze sprawą Spisza i Orawy. Zwłaszcza wzbudzały entuzjazm przemówienia Piotra Borowego, który zaciekawił słuchaczy licznemi przypowieściami i gadkami, wypowiadanemi stylem nie gorszym od Sabałowego.

Ogłoszony przez Radę Dziesięciu plebiscyt nie obejmował wprawdzie wszystkich terytorjów, żądanych przez Polskę[11]), w każdym bądź razie miał się odbyć na całem Zamagórzu oraz w powiatach Trzcianskim i Namiestowskim na Orawie. Mimo wszystko jednak wynik plebiscytu zdawał się być przesądzonym na korzyść Polski. To też decyzja Rady Ambasadorów z dnia 28 lipca 1920, przyznająca Polsce jedynie drobne skrawki Spiszu i Orawy, była gorszą od najgorszego wyniku plebiscytu.[12]).

Na Orawie wyszliśmy stosunkowo jeszcze obronną ręką, gdyż oprócz Jabłonki, będącej od dawna centrum ruchu polskiego, otrzymaliśmy następujące wsie: Górną i Dolną Lipnicę, Chyżne, Podwilk, Piekielnik, Podszkle, Orawkę, Bukowinę, Harkabuz, Podsarnie i Górną i Dolną Zubrzyce.

O wiele gorzej obszedł się z nami arbitraż Rady Ambasadorów na Spiszu, przysądzający Czechom stolicę Zamagórza Starą Wieś, a zwłaszcza tak pożądaną przez Polaków Jaworzynę. Przypadło tu Polsce tylko 12 gmin a to: Nowa Białka, Frydman, Krempach, Trybš, Łapsze Wyżne i Niżne, Łapszanka, Czarna Góra, Rzepiska, Jurgów, Kacwin, Dursztyn, Falsztyn oraz Niedzica wraz z zamkiem niedzickim.

Decyzja choć niesprawiedliwa i wyraźnie nas krzywdząca, przyznała Polsce te ziemie, w których uzyskanie dla Polski nikt bardzo nie wierzył a, jak już wspomniałem, przemawiały przeciwko nam zarówno względy historyczne jak i geograficzne.

Dla naszych delegatów decyzja Rady Ambasadorów wypadła bardzo niepomyślnie, gdyż rodzinna wioska Borowego Rabczyca została przyznana Czechom, — zaś Lendak, skąd pochodził Halczyn, nie był wogóle objęty plebiscytem. Halczyn straciwszy nadzieję powrotu ojczystej wioski na łono Macierzy, wraca tam i pędzi życie nie wolne od szykan i złośliwości czechosłowackich władz politycznych. Zamożniejszy od Wojtka Halczyna Borowy sprzedaje ojcowską chałupę w Rabczycy i kupuje zagrodę w pobliskiej lecz polskiej już Lipnicy Wielkiej i żyje tam jeszcze przez lat dziesięć, — odznaczony przez Rzeczpospolitą orderem „Polski Odrodzonej" —

---

Podhale, które do r. 1918 było połączone z resztą Polski nienaturalnie wąskim pasem ziemi, obecnie dzięki przyłączeniu do Polski części Spisza i Orawy, nabrało bardziej naturalniejszych granic a sam „półwysep" uzyskał znacznie szersze podstawy.

Wiele zapewne ludzi pracowało nad tem, by Podhale uzyskało nowe i tak bardzo cenne dla nas terytorja, jednak kto wie, czy nie największa zasługa przypada tym dwom biednym góralom, którzy dzięki swej prawości, przywiązaniu do wiary ojczystej i bezinteresowności sprawili, że obecnie granica Polski obejmuje ziemię leżącą już po tamtej stronie Karjat. —

**Zbigniew Ciekliński**

[11]) Czadeckie oraz powiaty Kežmarski i Lubowelski na Spiszu przyznano Czechosłowacji bez plebiscytu.

[12]) Według zdania ks. Machaya: „Moja droga" str. 257.

# Z dziejów zamku w Sanoku

Wielką rolę w dawnych czasach, przy odmiennych niż dziś sposobach wojowania odgrywały warowne zamki, będące bądź rezydencjami wielkopańskiemi, bądź siedzibami władz administracyjnych i sądowych. Te ostatnie, wznoszone w stolicach ziem czy województw basztami i murami swemi nietylko broniły ziem tych przed najazdami wrogów, ale były również gwarancją wykonywania władzy starościńskiej. Mieściły się bowiem w nich urzędy starostów grodowych.

Nie dotrwały warownie te na obszarze Województwa Ruskiego dawnej Rzeczypospolitej do naszych czasów, tak, jak wiele zamków prywatnych. Co najwyżej ostały się samotne baszty, części dawnych zabudowań lub tylko resztki murów. Nic dziwnego. Magnaci dbali o swe rezydencje, a twierdze będące własnością Rzeczpospolitej w innych pozostawały warunkach. Różne też przyczyny składały się na to, że dziś tylko ruiny możemy oglądać. Liczne w XVII. wieku wojny i najazdy robiły swoje, a nie było środków na naprawę w okresie upadku gospodarczego kraju i skarbowości państwowej. Czas zaś nie próżnował niszcząc dalej mury. Wreszcie dzieła dokonywał nieraz rząd austrjacki, nakazując burzenie niektórych warowni.

W stolicy jednej z ziem Województwa Ruskiego, Sanoku dochował się do naszych czasów zamek, aczkolwiek w postaci mało już przypominającej dawną siedzibę starostwa grodowego. Jest jednym z niewielu zabytków miasta, które niegdyś niepoślednią odgrywało rolę. Nie dotrwała do teraz fara zbudowana za czasów Kazimierza Wielkiego, dwukrotnie w XVIII. wieku spalona. Istnieje jeszcze romański kościół z klasztorem OO. Franciszkanów, cerkiew oraz parę starszych kamienic.

Budowle te jednak nie przedstawiają ani większej wartości architektonicznej, ani też nie dochowały w swych murach prawie niczego (poza staremi dokumentami i książkami), co przedstawiałoby większą wartość zabytkową.

Wiele zawdzięcza Sanok Kazimierzowi Wielkiemu. Król ten nadał miastu prawo magdeburskie w 1366 roku, ale pamiętał też o umocnieniu tu swej władzy królewskiej, odbudowując (według Glogera) w tymże roku zamek. Zamieszkiwali tu podczas pobytów swych w Sanoku królowie polscy. A zajeżdżał tu jeszcze Kazimierz Wielki, wielokrotnie podczas swoich podróży zatrzymywał się tu Władysław Jagiełło, w roku 1417, z okazji ślubu tegoż króla z Elżbietą Granowską w farze sanockiej, gościł zamek w swych murach parę królewską i dygnitarzy, przybyłych tam wówczas W późniejszych czasach bywał zamek sanocki rezydencją królowych polskich jak np. Zofji, wdowy po Władysławie Jagielle, Bony, po śmierci Zygmunta I. oraz od roku 1552 Izabelli, siostry Zygmunta Augusta a wdowy po Janie Zapolyi, gdy musiała uchodzić z Węgier.

Aż do pierwszego rozbioru wykonywał swój urząd na zamku sanockim starosta tej ziemi. Odbywały się tu sądy i przechowywano aż do roku 1784 akta grodzkie i ziemskie.

Jak przedstawiał się zamek dawniej? Był przedewszystkiem bardzo obronny Strome stoki góry, San, przepływający wówczas pod samą skałą, jedyny dostęp od strony miasta czyniły go trudno dostępnym. O stanie jego w różnych czasach przechowały się pewne wiadomości. Tak np. zapiski sądowe z połowy XV. wieku mówią o parkanach, któremi był zamek otoczony.

Lustracja z roku 1665 wspomina że cały zamek był otoczony murem, który ze starości był już nieco zniszczony. Wejścia broniła potężna, murowana brama. Główny budynek zamkowy też był częściowo zniszczony. A „było w nim pokoiów y izdeb wiele". Naprawiano go wówczas, ale na całkowitą naprawę brakowało funduszów, dochody starostwa były bowiem za szczupłe, jak zaznacza lustracja. Lustracja z r. 1765 w podobny sposób opisuje zamek, wspo



Pozostała część budynku zamkowego w Sanoku.

minając jeszcze o moście na murowanych filarach i o wieży w dziedzińcu, służącej za więzienie. Lustracja ta również wspomina, że ściany groziły ruiną, gdyż były popękane ze starości (ob vetustatem). Niebezpiecznym okazał się San, który podmywał skałę. Jak przedstawiał się zamek niedawno jeszcze, bo w roku 1880, może poinformować rysunek w Albumie widoków Napoleona Ordy. Gmach zamkowy był wtedy o wiele obszerniejszy, gdyż posiadał jeszcze boczne skrzydło, dziś już nieistniejące

Położony w ustronnym zakątku Podkarpacia, rzadko bywał Sanok narażany na oblężenia. Nie omijały go jednak całkiem najazdy wrogów. Tak np. w 1657 roku podczas najazdu Rakoczego na Polskę, jeden z wodzów jego, Ispan pokusił się o zdobycie zamku sanockiego, czego jednak nie zdołał dokonać.

Ostatni raz odegrał zamek swą rolę jako warownia podczas walk o niepodległość Polski w roku 1809. Gdy w roku tym wojska Księstwa Warszawskiego zajmowały Galicję, zaczęto organizować po cyrkułach polskie władze. Wtedy to Ksawery hr. Krasicki z Leska organizator i dowódca jazdy w Sanockiem zajął na czele zebranych ochotników zamek sanocki i wprowadził tu polski rząd dla tutejszego cyrkułu. Nie długo jednak rząd ten utrzymał się, bo Austrjacy otrzymawszy posiłki, zajęli miasto i przystąpili do zdobywania zamku, do którego po walce cofnęli się Polacy. Przewaga Austrjaków była wielka, a fortyfikacje zbyt zniszczone, aby można się było długo bronić. Krasicki poddać się nie chciał, chwila zdobycia zamku nadchodziła, postanowiono więc użyć fortelu, aby przynajmniej ocalić załogę. W pewnej chwili dwaj oficerowie Bukowski i Prek z całym oddziałem zaatakowali w najsłabszem miejscu oblęgających huzarów i zdołali się przebić. Podczas tego Austrjacy w innej stronie uderzyli na bramę i zajęli ją, gdyż nikt jej nie bronił. Pozostały w zamku sam Krasicki zjechał wówczas konno stromą ścieżką od strony cerkwi przepłynął wpław wezbrany wówczas San i później połączył się pod Leskiem ze swoim oddziałem. W roku 1909 społeczeństwo sanockie uczciło pamięć jego wmurowaniem w szkole w pobliżu zamku pamiątkowej tablicy. Mieszczanie sanoccy zaś opowiadają o rycerzu, który konno i w zbroji, śpiesząc się z rozkazem skoczył ze stromej skały i zabił się.

Dziś zamek sanocki nie może już imponować potężnemi basztami i murami. Przedstawia się nawet dość skromnie, ale malowniczo. Zbudowany na wysokiej i stromej górze nad Sanem, zamyka piękną panoramę miasta od wschodu. Górę tę oddzielają od miasta głębokie parowy, tak, że w jednem tylko miejscu jest do niej dostęp, tam właśnie, gdzie dawniej była brama i most. Z głównego budynku zachowała się tylko część. Istnieje jeszcze stara a głęboka studnia i resztki murów obronnych.

Podanie miejscowe mówi o korytarzu podziemnym, którym zamek ma być połączony z Białą Górą, położoną po drugiej stronie Sanu o kilkaset metrów od zamku. Podanie również mylnie nazywa zamek „zamkiem królowej Bony" przypisując jej założenie go. Królowa ta mieszkała tylko przez pewien czas w Sanoku i wybudowała na Białej Górze Królewską Studnię a prawdopodobnie i zamek myśliwski, z którego teraz słabe tylko ślady istnieją.

Dziś zamek sanocki jest własnością Państwa Polskiego. Mieszczą się w nim niektóre urzędy i mieszkanie starosty sanockiego tak, jak to było przez szereg wieków od czasów Kazimierza Wielkiego.

**ADAM FASTNACHT**

# „Noche Triste"

## (W rocznicę „Smutnej Nocy" Hiszpanów w Meksyku)

W triumfalnej epopei odkrywania Nowego Świata i zdobywania dla cywilizacji europejsko - chrześcijańskiej olbrzymich, przewspaniałych i przebogatych terenów dla ekspansji kulturalnej i gospodarczej, politycznej i religijnej — nie brak, obok zdumiewających, wspaniałych momentów chwalebnych — i epizodów smutnych, żałobnych, często tragicznych. Wielu odkrywców i konkwistadorów nie ujrzało już nigdy ojczystych brzegów Kastylji, Estremadury czy Portugalji, opuściwszy je w poszukiwaniu przygód, chwały i złota w nowoodkrytych światach.

Jednych zmiotły choroby podzwrotnikowe („vomito" — groźna febra), wielu zginęło w otchłaniach morskich, wielu z ręki zazdrosnej lub karzącej współbraci, wielu w walce z krajowcami. I między najgłówniejszemi nazwiskami nie brak tragicznych ofiar przeznaczenia: w walkach bratobójczych zginęli Almagro i dwaj Pizarrowie, Vasco Nunez Balboa, pierwszy Europejczyk, który ujrzał Ocean Spokojny, dał głowę pod miecze z rozkazu zazdrosnego swego teścia, Pedrajasisa, — na dalekich Filipinach od strzały zatrutej krajowca padł Megellan, pierwszy człowiek który dokonał podróży dookoła globu ziemskiego, — z ran, które od Indjan otrzymali, umarli Fernandez de Cordova, jeden z tych, którzy pierwsi ziemi meksykańskiej dosięgli, i Juan Ponce de Leon, odkrywca Florydy.

Lecz najtragiczniejszym, najbardziej krwawym epizodem w dziejach wielkich odkryć i zuchwałych podbojów bezsprzecznie była noc z 1 na 2 lipca 1520 roku, istna hekatomba z krwi europejskiej, chrześcijańskiej, złożona na ołtarzu boga dziejów. Noc ta wywarła wstrząsające, niezapomniane wrażenie na współczesnych i przeszła do historji i legendy pod wiele mówiącą nazwą „Smutnej (albo bolesnej) nocy" (po hiszp. „Noche Triste", po ang. „The melancholy night").

W latach 1519—20 zdobywcy hiszpańscy pod wodzą Fernanda Korteza (właściwie Hernán Cortés) dokonali największego, najtrudniejszego i najdonioślejszego wyczynu w dziejach wielkich podbojów w Nowym Świecie.

Mała ich garstka wtargnęła na terytorjum potężnego państwa meksykańskiego, stanowiącego nie typ dyspotycznej monarchji, jak przypuszczano doniedawna, ale federację wojskową szczepów Tlapacan, Tezcuco i Azteków pod przewodnictwem tych ostatnich, jako plemienia najbitniejszego.

Z pomiędzy Azteków też wybierany był naczelny wódz sił zbrojnych federacji i to z jednego rodu, co spowodowało, że aż do końca XIX wieku w Europie wyobrażano sobie, że ci naczelni wodzowie federacji byli dziedzicznymi monarchami (cesarzami) typu teokratyczno - absolutnego.

Również i co do istoty i stopnia rozwoju kultury meksykańskiej panowały doniedawna zupełnie fałszywe przekonania i interpretacje: według najnowszych badań nie była to bynajmniej wysoka oryginalna cywilizacja, ale stan t. zw. „średniego barbarzyństwa" z naleciałościami pewnych cech wyższej cywilizacji, zaszczepionemi Aztekom przez tradycje na długo przed Aztekami wymarłych plemion Masów. W świetle nowszych badań nie jest więc podbój Meksyku przez Hiszpanów tak doniosłym czynem: nie jest to triumf cywilizacji europejskiej w walce z drugą, oryginalną, dziwaczną, ale równie potężną cywilizacją.

Z drugiej jednak strony odpada powód do oburzania się na rzekome barbarzyństwo europejskich zdobywców, do rozpaczania, że w poszukiwaniu złota bezmyślnie zniszczyli „wielką kulturę". W każdym razie, jeżeli chodzi o barbarzyństwo — to zarówno w sensie kultury materjalnej, rozwoju duchowego i intelektualnego, jak i w dziedzinie humanitaryzmu, — hiszpańscy konkwistadorzy o niebo przerastali Azteków i ich pobratymców.

W każdym jednak razie fakt zuchwałego wtargnięcia kilkuset Hiszpanów na terytorjum państwa, mogącego wystawić do 100.000 wojowników, jest czemś w dziejach ludzkości niesłychanem i brzmiącem, jak pieśń z fantastyczno - heroicznej epopei. Nie tu miejsce i czas rozwodzić się, w jaki sposób i dlaczego dokonali Hiszpanie stosunkowo bez dużego wysiłku tego zdumiewającego wyczynu: w każdym razie w połowie roku 1520 widzimy ich już w murach stolicy państwa — w Meksyku czyli Tenotchtilanie: pałac monarchy Montezumy (właściwie naczelnego wodza Mokteczoumy), skarbce i najważniejsze świątynie są w ich ręku, a sam Montezuma znajduje się w ich mocy, niby honorowy gość — w gruncie rzeczy, jako jeniec, którego nawet na jakiś czas zakuto w kajdany.

W czerwcu naskutek nierozważnego i okrutnego postępowania jednego z zastępców Korteza, Pedra de Alvarada, wybuchło w stolicy powstanie. Dziesiątki tysięcy Azteków szturmowały świątynię i pałac, zajęte przez Hiszpanów. Położenie Europejczyków stawało się beznadziejne. Dla ratowania sytuacji uciekł się Kortez do interwencji Montezumy, przypuszczając, że więziony wódz swym autorytetem uśmierzy rozpętanie namiętności.

Ale było już za późno: rozwścieczeni Aztekowie odpowiedzieli na interwencję Montezumy urąganiem, a nawet obsypali go gradem pocisków, z których jeden ciężko zranił wodza. W kilka dni później, targany wstydem i rozpaczą, że lud własny nietylko wyzbył się posłuchu dlań, ale się wyrzekł go



Ferdynand Cortez.

i nawet mu urągał — Montezuma zmarł, co było dla Hiszpanów niewątpliwym znak'em, że nic już nie powstrzyma gniewu i zemsty rozwścieczonych tłumów.

W obliczu grożącej zagłady Kortez zwołał radę wojenną i zadecydował wyjście z miasta.

W nocy z 1 na 2 lipca wojsko hiszpańskie i oddziały sprzymierzonych z Hiszpanami krajowców z plemienia Tlaskalanów poczęły opuszczać Tenotchtlan. Wyruszano w jak największej ciszy, by oszukać czujność oblegających Azteków lub przynajmniej opóźnić ich larm. Żeby wyjść z miasta, położonego na wyspie na środku jeziora Tezcuco, trzeba było przejść przez trzy kanały. W tym celu Hiszpanie przygotowali przenośny most i rozpoczęli odwrót grupami.

Awangarda, złożona z 200 żołnierzy hiszpańskich i 20 konnych rycerzy (caballeros), wyruszyła pod wodzą jednego z najbliższych współpracowników Kortoza, Gonsalvo de Sandovala, — arjegardę z 250 żołnierzy i zaopatrzoną w największą część artylerji prowadził wspomniany już Alvarado (zwany przez Indjan „Synem Słońca" — jedyny blondyn z pomiędzy rycerzy hiszpańskich!), mając przy boku gwałtownego Velasqueza de Leon, bliskiego krewnego gubernatora Kuby.

Środek pochodu, składający się z głównych sił hiszpańskich, kawalerji, taboru i oddziałów tlaskalańskich — wiódł sam Cortez, a przy nim byli Krzysztof d'Olid, ksiądz Bartłomiej d'Olmedo, dona Marina, kochanka Korteza, jeńcy, zakładnicy i niewolnicy (między nimi dzieci Montezumy), ogromne skarby, różne dokumenty — a w samem centrum taboru liczne kobiety, Indjanki, między niemi tlaskulańskie żony Alvarada i Velazquez de Leona.

Z początku pochód kroczył w ciszy, ale zaledwie oddział Sandovala rozpoczął forsowanie pierwszego kanału, rozległy się złowróżbne dźwięki gongu i bicie w bębny w wielkiej świątyni i mrowie wojowników meksykańskich opadło garstkę Hiszpanów i ich nielicznych sprzymierzeńców. Rozpoczęła się rozpaczliwa walka, a raczej rzeź. Każdy żołnierz z armji Corteza miał przeciwko sobie 5—10 przeciwników.

Do jęków rannych i konających przyłączył się wnet krzyk rozpaczy żywych: przenośny most pod ciężarem ludzkim tak głęboko zarył się w miękki grunt, że nie można go było wyciągnąć. Noc to była nietylko smutna, ale i straszna. Nie było w wojsku Corteza ani jednego z pośród walczących, ktoby nie otrzymał rany; w ucieczce porzucone zostały ciężko ładowne wozy, pełne złota i innych skarbów, — stracono też prawie całą artylerję i wszystkich niemal jeńców i zakładników.

Zginęło 450 Hiszpanów i 4000 Tlaskalanów czyli równo trzecia część armji, — zginął Velazquez de Leon i jego żona — Tlaskalanka, na chrzcie nazwana doną Elwirą. Śmierć niechybna groziła i Pedrowi de Alvarado: spieszony (konia pod nim zabito), ranny w głowę, osamotniony (wszystkich go otaczających zabito) — sam pozostał na opuszczonej już przez Hiszpanów stronie kanału, słabo już się broniąc przeciw atakom Azteków. Widząc, że znikąd już nie przyjdzie ratunek, zdobył się na rozpaczliwy krok: długą swą lancę wparł między trupy, zalegające kanał i zrobił olbrzymi, wspaniały skok — fenomenalny „skok o tyczce" wdal. Okrzyki entuzjazmu zarówno ze strony Hiszpanów i Tlaskalanów, jak i osłupiałych z podziwu Azteków — powitały ten wyczyn „Syna Słońca". Po dziś dzień miejsce to, z reguły zawsze pokazywane turystom, nosi nazwę „Skoku Alvarada".

Przez 7 dni, upadając z ran i znużenia, opędzali się Hiszpanie i Tlaskalanie atakom Azteków, aż przywiedzeni do rozpaczy zdecydowali się na walną bitwę, którą stoczyli pod miastem Otumba. Bitwę tę wygrali i od tej chwili zaczyna się nowy okres w dziejach podboju, który skończył się w sierpniu 1521 zdobyciem stolicy przez Cortezo i jego sprzymierzeńców i zburzeniem państwa Azteków, pomimo rozpaczliwej obrony pod wodzą bohaterskiego Guatemozina, meksykańskiego Hektora.

Teodor Parnicki

## Radjo a teatr

W Czechosłowacji rozgorzała świeżo zażarta polemika na temat radja i teatru.

Asumpt do tej polemiki dał wniosek postawiony w parlamencie przez posła dr. Bachera, który domagał się podwyższenia miesięcznych opłat abonamentowych za radjo i utworzenia z osiągniętej tą drogą nadwyżki — specjalnego „funduszu teatralnego", na podreperowanie opłakanych finansów teatrów stolicy.

Wniosek ten spotkał się z bardzo ostrą krytyką szerokiego ogółu. Przy tej okazji wysunęła się zasadnicza kwestja: czy i o ile radjo wpływać może ujemnie na rozwój teatru.

Otóż trzeba stwierdzić a priori jedno: Teatr i radjo idą odrębnemi drogami, nie robią i nie mogą robić sobie konkurencji. Teatr jednak jest rozrywką zbyt drogą, by mogły sobie pozwolić na nią te najszersze warstwy zaledwie średnio zamożnej ludności, które jednak odczuwają potrzebę jakiejkolwiek rozrywki umysłowej.

A więc: ludzie nie dlatego nie chodzą do teatru, że słuchają radja, — lecz dlatego właśnie słuchają radja, iż nie stać ich na teatr.

Przy tego rodzaju, jedynie właściwem i trafnem ujęciu kwestji pokazuje się, że radjo w żadnym razie nie stanowi konkurencji dla teatru, że nie ponosi ono żadnej winy za upadek teatrów, że zatem radjosłuchacze nie mogą być absolutnie pociągani do jakichś świadczeń na rzecz teatru.

Radjo nie jest zbytkiem, mogącym podlegać opodatkowaniu na takie czy inne cele, — lecz jest ważnym, niezbędnym już dzisiaj czynnikiem kulturalnym, o znaczeniu niemniej doniosłem jak teatr, szkoła czy szpital.

Co więcej — w całym szeregu wypadków radjo oddaje teatrom ogromne usługi, czyto przez odpowiednią reklamę, czy przez transmitowanie rozmaitych audycyj, oper itp., czy wreszcie przez angażowanie artystów teatralnych do swoich audycyj, słuchowisk, recytacyj, skeczów itp.

To też można być pewnym, że wniosek dr. Bachera zostanie odrzucony. Teatry czeskie domagają się sanacji, — ale koszta tejże nie mogą w żadnym razie obciążać radjosłuchaczy. Efekt finansowy podobnego „podatku" byłby stosunkowo niewielki, a podwyższenie opłat abonamentowych pociągnęłoby za sobą skutki wcale niepożądane: zmniejszenie się liczby abonentów, którzy musieliby zrezygnować z tej jedynej, najtańszej, a tak cennej rozrywki umysłowej.

(Lucy)

# Jan Franciszek Millet

Mało który malarz cieszy się we Francji od szeregu lat taką popularnością, jak J. F. Millet: reprodukcje jego obrazów, wielo- i jednobarwne znaleźć można w każdym niemal domu czyto zamożniejszego wieśniaka, czy bogatego ziemianina.

Reprodukcje, powtarzamy; — oryginały bowiem zdobią muzea Paryża i Londyru, lub salony Vanderbiltów i Rockefellerów.

Najbardziej znane są bezwątpienia dwa obrazy Millet'a: „Anioł Pański" (L'Angelus du soir) i „Kobiety zbierające kłosy" (Les Glaneuses). Obrazy, — zdaniem fachowej krytyki, — nie mogące uchodzić za arcydzieła z punktu widzenia samej techniki malarskiej, a zwłaszcza kolorytu, — ale podbijające czarem prawdziwej poezji i szczerego uczucia.

Tematy zaczerpnięte z codziennego szarego życia, chłopów: Oto na dźwięk dzwonów bijących na „Anioł Pański" przerywają oni swą pracę na roli. Mężczyzna stoi trzymając w ręku kapelusz, pogrążony w cichej, niemej modlitwie; Kobieta składa nabożnie ręce, szepcąc „Ave Maria"... Opodal taczki z workami, koszyk napełniony ziemniakami i zatknięte w ziemię widły.

Pracowali uczciwie, w pocie czoła, przez dzień cały, — obecnie nadchodzi chwila skupienia i modlitwy wieczornej przed zasłużonym wypoczynkiem.

Tam znów widzimy wysokie stogi zboża, ładowne wozy, niskie chałupki. A na pierwszym planie trzy stare kobiety chylą się nisko ku ziemi, zbierając skrzętnie resztki zżętych kłosów. „Trzy parki nędzy" — jak je nazwał Gautier.

Jakże mało mówi taki suchy opis, jak ubogim i nieskomplikowanym wydać się może sam temat obrazu! To samo dotyczy większości dzieł Millet'a, czy to będzie „Siewca", czy prząśniczka, czy gęsiarka lub owczarek. Zazwyczaj jedna lub dwie tylko postacie, oddające się najbardziej prozaicznemu zajęciu; niema w tych obrazach ani hucznego życia, zabawy, tańca, czy pijatyki, ani jakichś grup czy tłumów.

Zato jest w każdym z nich szczere uczucie, jest dusza prawdziwego artysty, jest hołd i apoteoza pracy na roli.

* * *

Pochodził Jan Franciszek Millet ze średnio zamożnej chłopskiej rodziny, osiadłej od lat na północno - zachodniem wybrzeżu Normandji.

U młodego chłopaka już wcześnie obudził się talent do rysunków, — toteż już w 18 roku życia wyjeżdża do Cherbourga na studja malarskie.

Po śmierci ojca w roku 1835 wraca na wieś, by jako najstarszy syn prowadzić dalej gospodarstwo. Wraca do pługa, do stajni i stodoły. Ale nie na długo. Już w następnym roku wyjeżdża znów do Cherbourga i wstępuje na naukę do prof. Langlois. Po sześciu miesiącach tej nauki Langlois zwraca się do Rady miejskiej w Cherbourgu z prośbą o przyznanie Millet'owi zasiłku na podróż i dalsze studja w Paryżu. Szło o niewielką sumę — 600 franków.

Zasiłek ten faktycznie otrzymuje — i to zdecydowało o dalszej karjerze Millet'a. Wychowany na wsi, wśród ludu, czuje się dziwnie obco i nieswojo w atmosferze stolicy. Zarabia na skromne utrzymanie... maluje szyldy. Przerzuca się następnie za radą przyjaciół, do malowania modnych wówczas scen frywolnych, amorków, nimf i faunów — i tak, klepie biedę przez kilka lat, wykolejony oderwany od tej czarnej ziemi, którą od dzieciństwa ukochał.



J. F. Millet: „Les Glaneuses"

Dopiero rok 1849 przynosi mu decydującą zmianę. Grasowała wówczas w Paryżu cholera. Millet sprzedaje swój pierwszy obraz, wystawiony w „Salonie paryskim"", „Le vanneur", za ogromną stosunkowo sumę 500 franków i z tym kapitałem wyjeżdża z Paryża do niedalekiej wioski Barbizon. Wrócił tedy na wieś. Kupuje mały domek z kawałkiem pola, urządza sobie gospodarstwo wiejskie i zabiera się sam do pracy.

Jest w swoim żywiole, a czuje się tam tak dobrze, że nie opuszcza Barbizon aż do śmierci.



J. F. Millet: „Angelus"

Tam też — w bezpośredniem zetknięciu się z ludem i pracą na roli — powstaje cały długi szereg jego najlepszych dzieł, — począwszy od „Siewcy" (w roku 1850). Tam również tworzy w roku 1857 dwa swe słynne obrazy, o których wspominaliśmy na wstępie.

Stopniowo sytuacja jego się polepsza: obrazy jego znajdują chętnych nabywców, zwłaszcza w Ameryce.

U szczytu sławy i powodzenia staje Millet w roku 1867, kiedy to na wystawie światowej znajduje się dziewięć jego najlepszych obrazów. Nie dożył coprawda tej chwili, kiedy w roku 1889 jego „Angelus" sprzedany został do Ameryki za 550 tysięcy franków, by następnie wrócić do Francji, gdzie nabywca, Chauchard zapłacił zań 750 tysięcy...

Bądź cobądź jednak mógł już za obrazy swoje — sprzedawane niegdyś po kilkaset franków na opędzenie drobnych codziennych wydatków, — żądać i dostawać po kilkadziesiąt tysięcy.

Ostatni jego obraz „Les Meules", datuje się z roku 1874. Po dłuższej chorobie, dnia 20 stycznia 1875 zamknął oczy na sen wieczny. Pogrzeb miał skromny, — nieliczna tylko garstka przyjaciół i wieśniaków z okolicznych wsi odprowadziła go na miejsce wiecznego spoczynku, na cmentarz w pobliżu starego kościoła w Chailly.

Wiadomość o śmierci artysty odbiła się w Paryżu silnem echem. Krytyka jednogłośnie okrzyczała go jednym z największych genjuszów malarstwa, zestawiając go w jednym rzędzie z Michałem Aniołem.

Na urządzonej w maju tegoż roku publicznej aukcji uzyskano za spuściznę po zmarłym — obrazy, szkice i rysunki — imponującą sumę 321 tysięcy franków.

A Rada miasta Cherbourg wystawiła mu na rynku pomnik, czcząc w ten sposób wielkiego artystę, któremu ongi udzieliła stypendjum w kwocie sześciuset franków, otwierając mu temsamem drogę do sławy. (R)

# Fotografja żywej komórki

Przed paru dniami rosyjski uczony prof. Jaworski w Akademji nauk w Leningradzie miał wysoce interesujący wykład poświęcony dzieleniu się komórki w żywym organizmie. Zagadnienie dzielenia komórki jest jednem z najważniejszych zagadnień biologji.

Na poznaniu jąder komórki, jej organów t. z. hromosomów i procesu jej dzielenia oparta jest teorja dziedziczności i jej praktyczne zastosowanie w procesie selekcji.

Tymczasem mechaniczna strona dzielenia dotychczas jest nie znana.

W żywej komórce pod mikroskopem wszystko jest przeźroczyste i bezbarwne. Jeszcze nie tak dawno uważano komórkę za bryłkę nawpół płynnej materji protoplazmy. Określano ją, jako żywe białko.

Dopiero nowa metoda „ustalania" i barwienia stworzyła w nauce o komórce nową obszerną dziedzinę nauki t. z. cytologję, która nabrała ogromnego znaczenia w genetyce i selekcji.

Na barwionych preparatach wyraźnie są widoczne te szczegóły budowy komórek i jej organów, które niedostrzegalne sa w jej żywym stanie, gdy jest bezbarwną i przezroczystą.

Jednak aby „zabarwić" komórkę, trzeba ją „ustalić".

Cytologowie czynili usilne starania celem wynalezienia takiego sposobu ustalania, przy którym ustrój najmniej zmieniłby się. Starano się tak zabijać, by wszystko w niej pozostało niezmienione. Osiągnięcie tego okazało się jednak niemożliwe.

Zmiany aczkolwiek nieznaczne były jednak istotne.

Prof. J. uciekł się do innego sposobu Wiadomo, że przy pomocy fotografji lic sądowych w śledztwach, udawało się w całej pełni odnowić wywabiony na dokumencie tekst.

Takiemi też fotograficznemi metodami posługuje się archeologia. Prof. Jaworski opracował szereg metod takiej badawczej fotografji. Sfotografował komórkę w czasie dzielenia się.

Takie zdjęcia mikrofotograficzne pod daje działaniu specjalnie przez siebie wynalezionych metod, wzmacniając na zewnętrznych krańcach kontrasty i różnice barwne. Tą drogą otrzymuje się jasny i wyraźny obraz wszystkich organów żywej komórki.

Kinematografja dała Jaworskiemu nowe jeszcze możliwości postępowania. Jednak proces dzielenia się komórki odbywa się, z wyjątkiem niektórych jego momentów, bardzo wolno, — trwa godzinami.

Zbadać jego dynamikę również trudno, tak jakbyśmy chcieli śledzić oczyma ruchy wskazówek zegara. Jednakże ruchy sekundowych wskazówek są dobrze widoczne. Dlatego Jaworski zastosował w swych pracach sposób powolnych, przewlęktych zdjęć. Pozwalają one doskonale dostrzegać takie ruchy, które w innych warunkach, wskutek swej powolności, byłyby nieuchwytne.

Oczywista, odkrycie prof. Jaworskiego wywołało w świecie naukowym ogromne zainteresowanie. (k.)

# Z teatrów angielskich

Niepodobna byłoby w korespondencji o normalnych rozmiarach dać obraz życia teatralnego W. Brytanji, czy chociby tylko samego Londynu, w dobiegającym końca sezonie. Poprzestanę tedy na kilku zjawiskach, które szczególnie zasługują na uwagę.

## Teatr w Regent's Parku

Lewis Carroll ma stanowczo szczęśliwą rękę. Udało mu się powtórzyć tam tegoroczne powodzenia teatru na wolnem powietrzu. Wspaniała — dla niektórych zanadto wspaniała — pogoda ściąga dzień w dzień tłumy do Ogrodu Botanicznego, stanowiącego część Regent's Parku.

Cechą repertuaru jest coraz większe urozmaicenie. Punktem wyjścia teatru w Regent's Parku był Szekspir, którego dwie komedje fantastyczne, młodzieńcza i starcza, „Sen nocy letniej" i „Burza" świetnie nadają się właśnie do wystawienia na tle przez naturę stworzonych dekoracyj. Akcja ich odbywa się przecież przeważnie na powietrzu, stąd cudowne opisy, obie też sztuki zawierają obfitość żywiołu fantastycznego. Może widz z czasów Elżbiety wierzył w elfy i w Arjela, może miał swoje wątpliwości. Widz naszych czasów nie wierzy, ale znacznie łatwiej mu pogodzić się z kowencją, jeżeli ujrzy te nadprzyrodzone twory, wychylające się z zarośli i bujające w koronach drzew, niż jeżeli wychodzą zza kulis, opuszczają się z góry na niewidocznym sznurze i pochłania je zapadnia.

Wybornie wypadła również „Noc Trzech Króli", szczególnie jej poetyczne ustępy, którym zieleń i kwiecie dało wspaniałą oprawę.

W tym roku Filida Nelson - Terry gra w „Śnie nocy letniej" Oberona, Robert Atkins Spodka itd., wznowiono też „Noc Trzech Króli", lecz między te przedstawienia wplatają się sztuki współczesne lub w każdym razie poszekspirowskie. Najbliższą premjerą będą „Wiejskie zaloty" Shaw'a z najsławniejszą artystką angielską, Sybillą Thorndike w głównej roli. Bardzo szczęśliwą innowacją jest również przeniesienie pod gołe niebo baletu. Sidney Carroll wyjeżdża ze swym zespołem na kilkudniowe tury prowincjonalne, wynajmując na ten czas swą „salę" i „scenę" trupie tanecznej Vic - Wells.

Do mniej szczęśliwych pomysłów zaliczyć trzeba wystawienie w Regent's Parku „Ryszarda III." Posępny nastrój tej tragedji obłudy, żądzy władzy i mordu niełatwo wydobyć pośród rozkosznej przyrody. Dodajmy dla sprawiedliwości, że odpowiedzialność nie spada na Sidney'a Carrolla, gdyż był to występ gościnny.

## Komus

Na rok bieżący przypada trzechsetlecie „Komusa" Miltona. Jest to tzw. maska tj. widowisko mitologiczne z obfitością efektów wzrokowych i z muzyką. Milton napisał je dla uświetnienia uroczystości, urządzanych przez hr. Bridgewater, gdy ten obejmował namiestnictwo Walji. Podobno wysnuł treść z zabłąkania się w lesie dzieci hrabiego, ale ujął ją w wiersz, pełen pierwszorzędnych piękności poetyckich i wprowadził tendencję moralną w swoim purytańskim duchu. Poeci odrodzenia powtarzali w najrozmaitszem ujęciu antkreontyczno - horacjańskie wezwanie do używania życia. Milton w „Komusie" jest przedstawicielem „odrodzenia chrześcijańskiego", potępia żądzę użycia, przeciwstawiając jej ideał czystości i doskonałości.

„Komusa" po raz pierwszy odegrano w roku 1634 w parku (czy sadzie) zamku Ludlow. Był więc pisany z myślą o tle drzew i krzewów. Stąd wyborne wyglądał na scenie Regent's Parku, a jego przepiękne tyrady robiły głębokie wrażenie właśnie na łonie natury. Na pierwszy plan wybił się Leslie French jako Duch Opiekuńczy Dziewicy (Lady) granej przez Sybillę Evers.

## Komedja omyłek

Natomiast niezbyt fortunnym pomysłem było połączenie „Komusa" z szekspirowską „Komedją omyłek". Pomijam już odmienność tonu — ostatecznie wrażenie mogłoby polegać na kontraście. Ale można twierdzić, że „Komedja omyłek" wogóle niebardzo nadaje się już dziś do grania. Filologa klasycznego może interesować jako jedyna sztuka Szekspira, oparta wprost na klasycznym oryginale (tj. na „Menechmach" Plauta), znawcę epoki elżbietańskiej pociągnąć mnogością aktualnych w owym czasie, a dziś niezrozumiałych aluzyj, badacza życiorysu Szekspira przypuszczalnym żywiołem autobiograficznym (bo przypuszczają, że w postaci zazdrosnej a kłótliwej, Adrjany poeta przedstawił własną żonę), ale d'a przeciętnego widza wieku XX. te atrakcje nie istnieją. Farsa wyda mu się nieprawdopodobna, szeregu szczegółów nie zrozumie, a za to wszystko nie znajdzie odszkodowania w czarze poezji, którego tu bardzo mało.

Zupełnie też nieodpowiednie jest tło Regent Parku. Akcja „Komedji omyłek" rozgrywa się przeważnie na placach i ulicach miejskich... Zdaje się, że sztukę wybrano poprostu dlatego, iż jest najkrótszą komedją szekspirowską, więc razem z „Komusem" niebardzo przekroczyła normalny czas trwania przedstawienia. Nie uratowała jej nawet wcale dobra gra Margerethy Scott i innych i wykonawców.

## Eschylos w Bradfield

Zupełnie innego rodzaju, zresztą bardzo oryginalny eksperyment urządzili amatorzy płci obojga, rekrutujący się ze sfer uniwersyteckich, w Bradfield w Berskshire. Wystawił Eschylossowego Agamemnona po grecku w kredowej pieczarze. Okazała się ona cudownie akustyczną, a nawet widzowie nie rozumiejący języka — bodajże stanowiący większość — upajali się jego melodyjnością, która stanowi kontrast wobec brzydkiej dźwiękowo angielszczyzny. Zresztą mieli i obfitość niezwykłych wrażeń wzrokowych.

Przedstawienie w Bradfield miało charakter kompromisowy. Starano się zachować hieratyczny ton Eschylosa, który chciał tworzyć raczej jakieś nabożeństwo, niż tragedję. Umieszczono chór na przodzie sceny. Ale nie posunięto pietyzmu do ostateczności, która mogłaby wyjść na szkodę przedstawienia.

Postacie dramatu greckiego były w oryginalnej inscenizacji ateńskiej czemś nadnaturalnem. Na twarzach miały maski, na nogach koturny, które znacznie wzrost powiększały. Tego nie naśladowano. Odstąpiono również od wzrokowej monotonji greckiej sceny, która ubierała wszystkich aktorów w białe, powłóczyste szaty, nadając im cechy porażających się posągów. Dano więc głównym osobom chitony i chleny purpurowe ze złotem, a straż przyboczną Agamemnona ubrano w strój czarny z bronzowym.

## Dlaczego ludzie chodzą do teatru?

Ankietę na powyższe pytanie urządził znany dramaturg i rzutki reżyser oraz artystyczny kierownik teatru C. B. Cochrane pośród publiczności, uczęszczającej przez kilka dni na sztukę Małgorzaty Kennedy „Nigdy mi nie uciekniesz" (**Escape Me Never!**). Sztuka ta grana jest od ośmiu miesięcy i stale wypełnia salę. Powodzenie to zawdzięcza po części grze Elżbiety Bergner.

Cochrane zwrócił się do publiczności najuboższej, bo uczęszczającej na galerję. Bilet kosztował tylko 1 i pół szylinga, ale nie tak łatwo go otrzymać, gdyż niema przedsprzedaży, więc trzeba stać w ogonku — nieraz dobrych kilka godzin. Zdaje się, że rozumowanie było słuszne: tacy widzowie chodzą do teatru nie dla mody, nie dla pokazania czy zobaczenia strojów, ale z czystego zamiłowania artystycznego, a ponieważ zapewne niezbyt często mogą sobie pozwolić na jego zaspokojenie, dobrze się namyślają, jaką wybrać sztukę.

Kwestjonarjusz brzmiał:

Czy pana (panią) skłoniły do zobaczenia Elżbiety Bergner w „Nigdy mi nie uciekniesz?"
1) recenzje,
2) rada znajomych,
3) jej role filmowe,
4) afisze
5) przejście koło Teatru i widok ogłoszeń i fotografij,
6) reklama prasowa,
7) zwykły przypadek?.

Odpowiedzi było około 2 i pół tysiąca, a więc liczba, pozwalająca wysnuwać pewne wnioski. Około dwóch tysięcy głosów padło na dwie pierwsze ewentualności (1, 2), przyczem zwyciężyły recenzje, ale tylko w stosunku 9:8. Trzeci punkt (role filmowe) zgromadził niewiele ponad 200 głosów. Jeden z przypisujących swą bytność na sztuce kinowym występom Elżbiety Bergner, napisał „Jej głos, chćby rozbrzmiewający z metalowej tuby, jest dręcząco piękny. Szedłem dziś popołudniu plecho ta pięć mil (ang.), aby go usłyszeć i będę musiał taksamo wrócić".

Po setce głosów otrzymały punkty 5 i 6 (ogłoszenia i fotografje w gmachu teatralnym; afisze). Tylko 46 osób przyznało się, że przyszły na przedstawienie przypadkowo.

Najciekawsze były odpowiedzi, wychodzące poza 7 punktów Cochrana — naturalnie bardzo nieliczne. Niektórzy oświadczyli, że ściągnęło ich nazwisko Małgorzaty Kennedy jako autorki znanej powieści „Wierna nimfa". Inni mają zaufanie do reżyserji Cochrana. Ktoś napisał: „Sukces to sukces" (a więc dał się skusić długotrwałem powodzeniem sztuki. Byli tacy (bodaj że Żydzi), którzy poszli do teatru przez sympatję do aktorki, wydalonej z Niemiec. Ci po myśli się, bo Elżbieta Bergner pochodzi z Wiednia, chociaż sławę zdobyła głównie w Berlinie, do Anglji zaś przybyła na rok przed przewrotem hitlerowskim. Ktoś napisał, że chciał zobaczyć, o co ludzie robią tyle hałasu.

Na specjalną uwagę zasługują trzy indywidualne odpowiedzi:

Chciałam się raz porządnie wypłakać.
Mecz został odwołany.
Ściągnęła mnie jej naturalność i to, że nie onduluje na stałe włosów.

## Chirurgiczna sztuka

Ogólne zaniteresowanie budzi zapowiedziana na 28 czerwca premjera w Lyric Thteatre, **Men in White** (Ludzie w białych kitlach) Sidney'a Kingsmill. Sztuka ma duże powodzenie w Nowym Jorku i grana już była na stałym lądzie Europy.

Rzecz dzieje się w szpitalu, a jedna z odsłon rozgrywa się w sali operacyjnej. Przeciwko zbytniemu realizmowi tych scen wystąpiła cenzura, żądając pewnych opuszczeń.

Treść obraca się około konfliktu między miłością a powołaniem. Mężczyzna pragnie poświęcić się chirurgji, ukochana kobieta sprzeciwia się temu. Ostateczne jej ustępstwo jest problematyczne, mówi bowiem lekarzowi „Pracuj, jak możesz, najciężej" i oddala się, nie mówiąc, na jak długo.

Dochód z pierwszego przedstawienia przeznaczono na Szpital św. Jerzego, a ponieważ prezesem Rady Zarządzającej tą instytucją jest książę Walji, zapowiedział on swą bytność na premjerze. Będzie również obecny i autor, który po raz pierwszy opuścił Stany Zjednoczone, aby osobiście kierować próbami.

Warto jeszcze zanotować jeden charakterystyczny szczegół: dialogi zawierają dużo amerykanizmów, zwłaszcza amerykańskiej gwary lekarskiej. Wobec tego przeprowadził w nich odpowiednie zmiany językowe Dr. Merton Hodge, w jednej osobie lekarz i dramaturg (jego „Wiatr i deszcz" doczekał się właśnie w St. Martin's Theatre) trzechsetnego przedstawienia).

Tłumaczył W. T.

# Kłopoty „mokrych" Stanów Zjedn.

Podczas prohibicji większą część sprzedawanego tajnie alkoholu sprowadzano z Kanady i Indyj zachodnich. Obecnie wyrabia się go tanio na miejscu, nalewa do butelek po napojach, prawnie sprzedanych i zaopatruje w podrobione precyzyjnie etykiety. Ponieważ bootleggerzy nie płacą podatku, nie płacą za komisję nie wydają nic na reklamę, ich konkurencja jest wprost zabójcza dla koncesjonowanych handlarzy napojów wyskokowych i ci zwrócili się do rządu o szybką pomoc, gdyż każdemu prawie groził bankructwo.

Rząd Stanów zdaje sobie sprawę z sytuacji, postanowił tedy bezwzględnie wytępić tajny handel alkoholem. W tym celu prezydent Roosevelt udzielił nadzwyczajnych pełnomocnictw p. Józefowi Choate, który ma stanąć na czele akcji przeciw bootleggerom, działając w ścisłem porozumieniu z władzami skarbowemi i policją.

Jakież będą środki tej walki?

Przedewszystkiem idzie o wyśledzenie tajnych fabryk i składów. Wzięto się energicznie do rzeczy i w przeciągu tygodnia wykryto 300 destylarni, skonfiskowano zgórą 20 tysięcy gallonów alkoholu i uwięziono zgórą 400 osób.

Równocześnie zapadło postanowienie, że państwo roztoczy ścisłą kontrolę nad wyrobem butelek i ich sprzedażą. Dozwolone będą tylko flaszki, zaopatrzone w znak, stwierdzający zapłacenie podatku, zresztą bardzo niskiego. Ponowna sprzedaż butelki ma być surowo zakazana. Po restauracjach i hotelach zbierać się będzie próżne naczynia szklane.

Pozostaje jeszcze sprawa cen. Uczciwi handlarze nie mogą konkurować z bootleggerami, którzy tak świetnie nauczyli się naśladować ich towar co do zewnętrznego wyglądu, że dopiero smakiem i przy pomocy analizy chemicznej można stwierdzić różnicę, a czasem okazuje ją dopiero ból głowy. Prezydent jest uprawniony do zniżenia podatku od alkoholów o 50% i najprawdopodobniej skorzysta z tego prawa.

# „Różaniec Wspomnień"

„Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem.
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem"...
(Słowacki — „Kordjan")

Dzieła Dr. prof. Jana Zubrzyckiego jak: „Mistrz Twardowski", „Sklepienia polskie", „Arcydzieła Wita Stwosza", „Sława", „Serce" i inne — prześwietlone są najwznioślejszym polskim idealizmem, ale „Różaniec Wspomnień" jest poprostu hymnem strzelistym, wielbiącym tradycję rodową i narodową, jest wyznaniem wiary w szczytną misję posłanniczą Polski w realizacji Królestwa Bożego na ziemi.

Autor „Różańca" jest przekonany, że ta idea posłannicza była zawsze przewodnikiem narodu polskiego, natchnieniem w tworzeniu cywilizacji i kultury rodzimej, pobudką do wzlotów orlich i czynów wielkich; ona uczyniła Polskę przedmurzem Chrześcijaństwa, a w czasach klęsk i niewoli nie pozwoliła zamrzeć żywotnym siłom narodu; ona jest istotną treścią życia Polski, podstawą jej przyszłości.

Ten idealistyczny pogląd autora, wiara w decydujący wpływ czynników duchowych na rozwój narodu, nie jest tylko poetyckiem, romantycznem ujmowaniem życia, ale wpływa z naukowego pogłębienia psychologji dziejów, z głębokiej znajomości natury i historji narodu polskiego. Nietylko dobra materjalne, samodzielność państwowa i gospodarcza, dobra forma rządu, — stanowią istotną potęgę narodu, ale moc ducha i siła jej natężenia i promieniowania, wierność tradycji rodzimej, ten nieomylny, święty pierwiastek twórczy — idealizm narodowy.

Tradycję rozważa autor jako historycznie i psychologicznie uzasadnione podstawy życia społecznego. Tradycja, w której gromadzi się doświadczenie wieków, mądrość pokoleń, ich dorobek umysłowy i duchowy, — wskazuje Polsce cele, określa obowiązku, pobudza do pracy, we wszystkich dziedzinach życia i buduje przyszłość. Za najtrwalszych piastunów tradycji uważa rody szlacheckie i lud.

W „Różańcu Wspomnień" przedstawia autor życie rodu Sas Zubrzyckich, którego gniazdem Hostów w ziemi Stanisławowskiej i Tłuste między Zaleszczykami a Czortkowem. Tłem, na którem rozsnuwa perły swego „Różańca" — jest ziemia podolska, odmalowana z umiłowaniem ogromnem, poezją i plastycznością. Wieś polska, organicznie z przyrody wyrosła, — uważa za miejsce, w którem najdoskonalej kształtuje się dusza polska; przepiękne są opisy łanów, lasów, uroczysk, dworów, chat i kościołów. „Kościół przedewszystkiem" — pisze autor — „na miejscu najpierwszem, kościół wołający dzwonami i dzwonkami, kościół żarliwie rozmodlony, przepełniony śpiewami w niebo bijącymi, kościół grający organami. Jak długo dźwięczy hymn uroczysty, a prześwięty wielbiący Pana nad Pany, tak długo Polska będzie żywą i nieśmiertelną". „Dwory szlachty podolskiej, gniazda orłów — bohatarów — zbudowane z drzewa, z dziedzińcem kilkumorgowym, ocienionym lipami, lub dębem odwiecznym.

W dziedziniec zapraszała brama wjazdowa, przeważnie okazała. Ozdobą jej filary murowane, zwieńczone u góry kulami albo wazonami, z których wyatrzelał płomień lub kwiat, w kamieniu misternie wykonany; jeżeli to była brama drewniana, staropolska, wówczas kule i wazony były drewniane z ogniem, lub kwieciem z drzewa wyrzeźbionym. Na bramach kościelnych i na ołtarzach widać także kule płomieniste, jako symbol święty. Snać jedno pragnienie głębokie przenikało naszych przodków, aby życie całe podobne było do naczynia wybranego, z kwiatem cnót, z ogniem świętym siejącym promienie miłości i ofiary."

„Różaniec wspomnień" obejmuje okres od powstania listopadowego do roku 1918, w którym umarła sistra autora, „Jadwiga z Łobzowa", (z Zubrzyckich Strokowa) znana działaczka społeczna, autorka wielu poezji i powieści, przeważnie historycznych. W powstaniu listopadowem przepadł bez wieści pradziad autora, po którym został „cichy płacz niewieści" i wzór dla młodego pokolenia; w powstaniu tem walczył dziad autora Karola, który majątek cały złożył na ołtarzu spraw świętej. „Po upadku powstania listopadowego wielu rozbitków przedostawało się z za kordonu prze Zbrucz i w domu Zubrzyckich znajdowało schron i opiekę."

Z głębokiem wzruszeniem patrjotycznem opisuje autor marzenia wolnościowe i prace przygotowawcze do powstania r. 1846; z bólem wielkim pisze o tym roku nieszczęsnym, o straceniu bohaterów — Teofila Wiśniowskiego z Jazłowa i Józefa Kapuścińskiego, których przed śmiercią spowiadał stryj autora, ksiądz Roman Zubrzycki, kanonik i dziekan śniatyński, — o uwięzieniu ojca swego Marcelego i stryja Justyna w Kufsteinie.

Tchnieniem ożywczem powieje na Czytelnika wspomnienie o wiośnie ludów", uwolnieniu więźniów Kufsteinu, utworzeniu Gwardji Narodowej, działalności ojca Marcelego Zubrzyckiego jako ułana Gwardji, o entuzjastycznem powitaniu jenerała Dwernickiego we Lwowie, o porywach i uniesieniach serc polskich od marca do listopada r. 1848. Te promienne wspomnienia rychło przyćmiewają chmury grozy i przygnębienia: bombardowanie Lwowa w listopadzie r. 1848, prześladowania, więzienia, „ofiary i męczeństwa łańcuch święty". — Ale duch Jazłowieckich, Włostowskich, Zubrzyckich, duch Wiśniowskiego i Dwernickiego, unosił się nad Podolem, nie pozwalając zgasnąć Zniczowi świętemu. Dzieła Mickiewicza drukowane w Paryżu i Lipsku przedostawały się na Ziemię podolską, rozmarzały i podniecały do czynu. Ojciec autora Marceli Zubrzycki, mianowany przez Rząd Narodowy z Warszawy — naczelnikiem miasta i powiatu Uścieczko — stanął na czele przygotowań zbrojnych do powstania r. 1863. „Po nocach często powstańcy dobijali się do naszego gniazda rodzinnego w Tłustem, szukali przytułku, zabierali czamary pwstańcze i broń; domek nasz stał się ostoją ducha polskiego, a wróg niczego nie odkrył, chociaż przeprowadzał śledztwa, wywracając w domu wszystko; nawet obrazy z za szkieł wyjmowano i badano pod światło. Mianowanie z Rządu Narodowego zaszyte było w sukni matki. Na życie całe wryły się w serca nasze postacie powstańców, w żupanikach siwych, w butachfałdowanych i rogatywce". (str. 148)

Po opisach pełnych bólu, jakby dla złagodzenia smutku, wprowadza nas autor w zacisze dworów, pokazując życie rodzinne i towarzyskie, opromienione światłem cnót staropolskich, nierzadko bohaterstwem cichem, wielkością i wzniosłością w szacie najszlachetniejszej prostoty. Jak perły różańca roztaczają się obrazy, czarujące wdziękiem „sielskim — anielskim":

Oto w złocie letniego południa niedzielnego, w zapachu lip i kadzideł idzie procesja uroczysta ,oto na rynku miasteczka wre bujne życie Świętojańskich jarmarków, — przez szereg komnat dworu sunie barwny wąż „polskiego", z zamieci śnieżnej, w rubinowej poświacie pochodni wynurza się kulig storopolski, po wysrebrzonej mrozem i księżycem drodze idą kolędnicy z tórmniem*) i ukochanym ułanem polskim; po stepie bezkresnym błądzą podróżni, a w izbie zacisznej, na przypiecku przytulnym, przy wtórze świerszczów, piastunka stara przędzie przędzę lnianą i baśniową, śpiewając tęskne dumy podolskie; na pagórku pod krzyżem siedzi matka autora z gromadką dzieci i z pamięci swojej wysnuwa opowieści o dziejach ojczystych, a dziatwa zasłuchana patrzy w dal.

O tych chwilach pisze autor: „Kto nie zna Podola, ten nie odgadnie, ile to siły tkwi w owem patrzeniu w dal niezmierzoną; jakieś światy czarowne zjawiały się w tej dali, budząc w sercach naszych tęsknotę żywiołową". — Przy czytaniu „Różańca Wspomnień" — oplatają duszę słowa poety: „Gdyb orłem być, Lot sokoli mieć, Skrzydłem orłem lub sokolem, Unosić się nad Podolem, Tamtem życiem żyć!" — Piękna książka! Czytajcie ją wszyscy: starsi, aby orzeźwić się w zdroju polskości, młodzi, aby rozbudzić pierwiastek idealizmu, tkwiący w każdej duszy polskiej.

**H. Gr.**

*) pisownia autora.

# Czy stacje nadawcze męczą się

Ludzie męczą się, zwierzęta męczą się, a nawet metale odczuwają zmęczenie. Pióra ptaków po pewnym czasie tracą swą prężność. Wszystko cokolwiek żyje, cokolwiek pracuje — zużywa się i starzeje Można zadać sobie pytanie czy również stacje radjowe, które pracują po 12, a nawet więcej godzin na dobę męczą się i zużywają?

Słuchacze często spostrzegają, że siła odbioru radjostacyj słabnie. Po kilku tygodniach, miesiącach, a często i po kilku latach głos stacji radjowej w eterze, początkowo donośny i silny, cichnie. Odbierać ją można przy pomocy odbiornika tylko z pewną trudnością Mniema się na tej podstawie, że zjawisko to jest spowodowane stopniowem zużywaniem się — można nawet powiedzieć — starzeniem się stacji nadawczej.

Każde zjawisko wymaga wyjaśnienia. I w tym wypadku wyjaśnienie można znaleść co jest tembardziej potrzebne, że zjawisko rzekomego starzenia się stacyj nadawczych mogłoby utwierdzić słuchaczy w błędnem mniemaniu. Każda stacja nadawcza ma dwie słabe strony: antenę i uziemienie. Obrazowo możnaby powiedzieć, że ziemia nie lubi gdy ją zbyt często ładowano silnemi prądami elektrycznemi. Mówi się, że wówczas w ziemi prąd elektryczny wywołuje pewne zmiany, które powodują zmniejszenie zdolności przewodzenia prądu. Jako potwierdzenie tej teorji wymienia się fakt, że stacje nadawcze na okrętach „nie męczą się", czyli poprawniej mówiąc nie podlegają osłabieniom siły odbioru. Rzekomo bowiem „ziemia" stacyj okrętowych, czyli woda, po której pływają, jest ciągle inna.

Jednak dyrektor techniczny wytwórni radjowych stacyj nadawczych zapytany o wyjaśnienie zjawiska męczenia się stacyj nadawczych oświadczył, że w czasie 30-letniej praktyki nie spotkał się ani razu z tego rodzaju fenomenem.

Widocznie powód słabszego odbioru pewnych stacyj leży gdzieindziej, gdyż nawet zużywanie się zdolności promieniowania anteny tego nie potwierdza. Oczywiście teoretycznie można wyliczyć, że siła nadawcza stacyj, promieniowana przez antenę, będzie z czasem słabszą, gdy antena pokryje się śniedzią względnie zoksyduje się.

Wyliczenie to nie będzie miało jednak praktycznego znaczenia, gdyż stan anteny jest codziennie przy pomocy czułych instrumentów mierzony, co pozwala na utrzymanie stałej siły promieniowania.

Uziemienie anteny stacji nadawczej jest podobne do idealnego uziemienia zwyczajnego odbiornika. Oczywiście druty łączące antenę z ziemią po pewnym czasie stracą z pewnością swe umiemiające zdolności i pewnego dnia staną się bezużyteczne. Ale w praktyce i ten powód musi odpaść, gdyż stacja nadawcza zawsze żyje krócej niż owe druty. Po kilku latach modernizuje się aparaturę nadawczą i zmienia się uziemienie.

Jak widzimy z tego stacje nie męczą się. Faktem jest jednak, że męczą się lampy stacji nadawczej do tego stopnia, że po pewnym czasie są już zupełnie nie do użytku. Jak wszystko na świecie i lampy radjowe nie są wieczne. I one muszą być po pewnym czasie zastąpione młodszemi i silniejszemi. Dlatego na stacjach nadawczych uważa się bardzo na stan lamp, aby móc je w odpowiednim czasie wymienić.

Powód mniemania o rzekomem starzeniu się stacyj nadawczych leży również gdzieindziej. Coraz nowe i coraz silniejsze stacje powstają na świecie, usuwając w cień dawne olbrzymy. Dziesięcio kilowatowa stacja nadawcza była przed kilku laty olbrzymem, który budził podziw ze względu na siłę energji nadawczej. Dziś wobec licznych stu kilowatowych stacyj nadawczych jest ona karzełkiem, ledwo słyszalnym w eterze. Radjosłuchacze, którzy przyzwyczaili się dobrze i silnie odbierać przed kilku laty dziesięco klowatową stację — dziś odbierają ją z wielką trudnością. Jest cichsza i mniej uchwytna. Z tego powodu mniema się, że stacja w ciągu tych kilku lat postarzała się i nie ma już tej silnej młodzieńczej energji, która dawniej z taką siłą przemawiała z głośnika. Oczywiście stacja nie zestarzała się. Przygłuszyły ją tylko w eterze nowe olbrzymy.

Stacje nie męczą się. Męczą się tylko lampy. A gdy zmęczą się, jest na to jedna rada: kupić nowe.

**(K)**

## Stałe audycje radjowe

Program radjowy jest w ten sposób ułożony, że w pewne dnie tygodnia, o pewnych stałych godzinach, nadawane są audycje tego samego typu. Oczywiście możliwe są w tym schemacie pewne przesunięcia spowodowane koniecznością uwzględnienia jakiejś ważnej aktualności, którą przynosi chwila bieżąca, ale naogół wypadki te są rzadkie. Można z całą pewnością powiedzieć, że pani domu, gdy zapamięta sobie, iż we wtorki i w czwartki kilka minut po 1-szej w południe nadaje się przez radjo audycję dla dzieci najmłodszych, a w poniedziałki, środy i soboty o godz. 5-tej popołudniu dla dzieci nieco starszych — znajdzie czas, aby w tych godzinach zachęcić dzieci do słuchania radja i wspólnie z niemi przepędzić kilka chwil przy odbiorniku.

W poniedziałki i piątki radjo nadaje stale o godz. 6-tej po południu pogadanki na tematy interesujące kobiety. W pogadankach tych uwzględnia się całą skalę zainteresowań współczesnej pani domu, dając jej nietylko praktyczne wskazówki i rady, ale również omawiając z nią wspólnie wszystkie sprawy, w których decydującą rolę odgrywa współczesna kobieta.

ŚWIAT KOBIECY

# Ploteczki o modzie

— Jasne suknie z materjałów gładkich lub wzorzystych o lekkim deseniu z arabesków; draperje wokół szyi, wyrzucane, bufiaste rękawy pół-długie, prostą obcisłą spódnicę.

— Aby przytrzymać kapelusz o płaskiej główca, służą krótkie szpilki, zakończone kolorową kulką.

— Do sukien białych i do spódnic golfowych żakiecik bez kołnierza, w kolorze jaskrawym, zapięty n arząd dużych guzików.

— Swetry z białej włóczki, o bardzo prostym kroju, nakładane na spódnicę, z paskiem ze skóry.

— Na kapeluszach popołudniowych przybrania z kwiatów, udrapowane z przodu główki.

— Rękawiczki, opaska na kapeluszu, krawatka z ciemnego materjału w białe groszki, stanowią zabawny kontrast z jasnym kostjumem z wełny lub ze lnu.

— Proste swetry z inicjałami ze skóry lub futra.

— Plisowane, wąskie falbanki wokół trenu sukni wieczorowej.

— Wieczorem okrycia o różnym fasonie z dowolnego materjału; falista „kap" — narzutka z jaskrawej tafty; długi płaszcz z ciemnego jedwabiu o rękawach krótkich, a szerokich; pelerynka półdługa z piórek ciętych bardzo krótko.

— W mieście i na plaży sandałki na płaskich obcasach ze skórki antylopy, lekkie i chłodne, wygodne do noszenia w dnie gorące.

— Sportowa kurtka zarzucona niedbale na ramiona, niczem nie przytrzymana.

Komplet złożony z czterech części, niezmiernie pomysłowy, sprawi, że można go będzie nosić i podczas podróży, na wycieczki i do sportów. Składa się on z kurtki, spódnicy zrobionej z szarej, przerabianej wełny, z bluzki i spodenek do kolan zszytych razem, stanowiących całość z jasnego jedwabnego toile. Do tego skórzany pasek, który nosimy na spodenkach lub kurtce, szalik kolorowy i maleńki kapelusz zbliżony kształtem do męskiego.

**Duże cztery kieszenie naszyte na kurtce, proste mankiety i wykładany kołnierz mogą ozdobić skórzane guziki. Spódnica powinna być zupełnie prosta z plisami przystebnowanemi do połowy.**



Na pokładzie żaglówki kobieta ukazuje się w fantazyjnym stroju zbliżonym do munduru oficera i marynarza. Szerokie spodnie z bardzo praktycznego drelichu z kieszeniami na przodzie, zapięte na duże płaskie guziki. Bluza bez rękawów prosta i gładka, na szyi trójkątna chustka z kotwicą, kurtka do pasa, zarzucona na ramiona, z długiemi rękawami. Do tego sandałki z paseczkami i mała czapeczka.

Oryginalną ozdobę kostjumu yachtowego stanowi skórzany pasek zakończony metalowym łańcuchem i kółeczkami.



**Komplecik z płótna surowego, przybrany mereżkami i czarnym paskiem**

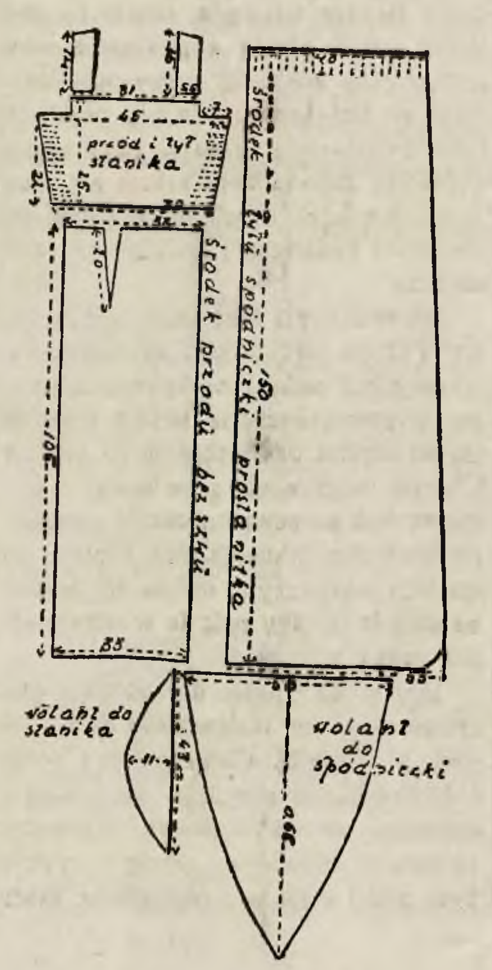
# Suknia z wolantem

Potrzeba 3 mtr. materjału organki szerokości 1 mtr.

Na stanik 45 cm. wysokości. Wycięcie kwadratowe. Pod pachami leko zmarszczyć. Wolant wedle wzoru, idzie on od ramienia do talji. Spódniczka: przód 1.10 mtr. na 70 cm. szerokości, na biodrach wszytki. tył długość około 1.50 mtr. (zależnie od długości trenu) na 1 mtr. szerokości. Dół lekko zaokrąglony, w pasie zmarszczony na całej szerokości.

Podwójny wolant według wzoru, przyszyty po obu bokach do szwów spodniczki.






# Estetyczna usługa

W naszem życiu codziennem usługa przy stole traktowana jest przeważnie po macoszemu. Napozór zdawałoby się, iż jest to rzecz łatwa i nieskomplikowana — jednakże rzadko przez kogo dobrze opanowana. Wygląd zewnętrzny, sposób ubrania, uczesania, sprawne i zręczne ruchy, uprzejmość, szybka orjentacja, a nawet wzrost, prawidłowa budowa i uroda decydują o dobrej i kwalifikowanej usłudze.

Jednym z czołowych obowiązków, którego przyzwoitej służącej w przyzwoitym domu zaniedbywać nie wolno, jest staranne i odpowiednie ubranie. Musi być ubrana czysto zarówno przy przygotowaniu posiłku, jak nakrywaniu stołu i podawaniu.

Staranne uczesanie, obuwie, w którem można się poruszać swobodnie i cicho, czyste ręce i czysto utrzymane paznokcie, podstawowa znajomość zasad nakrywania i podawania, to minimum, jakiego mamy prawo żądać od naszej pomocnicy szczególnie jeżeli nie zaniedbałyśmy wyszkolenia jej w okresie wstępnym.

Przy codziennych posiłkach służąca obnosi tylko półmiski. Salaterki i sosjerki ustawia na stole, powierzając je staraniu osób, zasiadających dokoła stołu

Po jednorazowem obniesieniu półmiska pozostawia go na stole, a sama wraca do kuchni przygotować dalsze dania i zjawia się dopiero na dzwonek sygnalizujący chwilę sprzątania.

Po podaniu deseru kawy, lub herbaty powinna mieć pozostawiony wolny czas naspożycie posiłku i nie należy jej od tego odrywać bez prawdziwej i naglącej potrzeby.

Dobrym systemem podnoszenia poziomu naszej pomocnicy, wciągania jej w koło estetycznych i kulturalnych zainteresowań w związku z posiłkiem, jest tepienie nagminnego przyzwyczajenia jedzenia na rożku stołu kuchennego zastawionego brudnem, usuniętem dopiero co z jadalni naczyniem i to jedzenie wprost z rondla, półmiska, albo jakiegobądź naczynia.



# Walka z liszajem wiosennym

Najczęściej spotykanym defektem cery na wiosnę, jest tak zwany liszaj biały wiosenny.

Przyczyną występowania tego liszaju jest zła przemiana materji, dziedziczność, nieodpowiednie stosowanie środków kosmetycznych, nieracjonalna pielęgnacja twarzy, podrażnienie mechaniczne zimnem, wiatrem, powietrzem.

Suche, łuszczące się ogniska, zwane liszajami wiosennemi, występować mogą już w najwcześniejszym wieku. Ażeby temu zapobiec należy natłuszczać skórę dobrym kremem roślinnym, unikać ostrych mydeł i twardej wody do mycia.

Gdy mamy do czynienia z liszajem białym wiosennym, należy na pewien czas przerwać mycie wodą i mydłem, a do oczyszczenia skóry stosować specjalne preparaty w postaci kremów, oliwy odżywczej itp.

Tak zwana woda twarda nie jest odpowiednia do mycia nawet skóry normalnej, zdrowej, gdyż dłużej stosowana może wywołać podrażnienie.

Woda ta zawiera składniki wapienne, oraz części organiczne, które zmydlając zbyt dokładnie tłuszcz wydzielany przez gruczoły łojowe skóry i osuszając ją tem samem nadmiernie, powodują stan zapalny skóry.

Jest natomiast rzeczą ogólnie znaną, że zastosowana do mycia woda miękka, a więc pozbawiona substancyj mineralnych, nigdy skutków ujemnych nie wykazuje.

Za wodę taką uważamy przedewszystkiem wodę deszczową, oraz wodę z roztopionego śniegu, której niejedna elegantka zawdzięcza piękną, gładką cerę swej twarzyczki.



# Poradnik dla gospodyni

### SZPINAKOWE OMLETY

Zmielony po ugotowaniu szpinak (pół kilo) miesza się z utartemi poprzednio 6 żółtkami, 4 łyżki mleka, 2 łyżkami tartej bułki i pianą z białek. Z tego ciasta wypieka się z obu stron małe omlety, smaruje duszonym móżdżkiem lub jajecznicą i podaje gorące z ziemniaczkami.

### ZUPA ZE SZPARAGÓW

Przyrządzić rosół na kościach z włoszczyzną, na którym ugotujemy szparagi na miękko, — a potem przetrzeć przez sito. Łebki odłożyć oddzielnie. Później wrzucić łebki, raz jeszcze zagotować i zaprawić dwoma łyżkami mąki, łyżką masła lekko zrumienionego. Przed wydaniem na stół zaprawić dwoma rozbitemi żółtkami. Do zupy tej podaje się lekko przyrumienione na maśle grzanki z białego chleba francuskiego lub bułki.

### KONFITURY Z RABARBARUM

Kilo rabarbarum obieramy z włókien i krajemy w kostkę. Dusimy w rondlu, na wolnym ogniu przez godzinę i kwadrans wraz z pół kg. cukru, podlane dwiema łyżkami wody.

Po ostudzeniu otrzymamy 3 kwaterki konfitur